

Barbara Gawryluk

ilustracje: Maciej Szymanowicz



Teraz tu jest
nasz dom





Romuś, już późno. Wstawaj do szkoły! – słyszałem, jak mama przygotowywała śniadanie w kuchni. Ale nie chciałem, żeby ten dzień się zaczął. Najchętniej zawinąłbym się w kołdrę i z powrotem usnął. Nie cierpiałem tej nowej szkoły.

Kiedy pierwszego dnia zjawiliśmy się w niej z mamą i Mikołajem, mój młodszy brat był przerażony. Okazało się, że zerówka miała zajęcia na parterze w dużej kolorowej sali. A on myślał, że będzie niedaleko mnie.

Do szatni zszedł po nas wysoki brodaty nauczyciel.

– Dobrze, że jesteście – powitał nas. – *Dobryj deń*. Jestem wychowawcą Romana – powiedział do mamy. – Mikołaja zaraz zaprowadzimy do jego pani. – A potem znowu zwrócił się do nas: – Rozumiecie, co mówię?

No jasne, że rozumieliśmy.

– U nas w rodzinie wszyscy mówią po polsku – wyjaśniła mama. – Z tym nie będzie kłopotu.

– A to niespodzianka! – uśmiechnął się wychowawca. – A ja się nawet nauczyłem kilku słów po ukraińsku.

Jesteście pierwszymi uczniami z Ukrainy w naszej szkole. A gdzie się nauczyliście mówić po polsku?

– My z mężem studiowaliśmy przed laty w Polsce, w Krakowie, mąż pochodzi z polskiej rodziny, w domu w Ukrainie też często rozmawialiśmy po polsku. A dzieci uczyły się języka w ośrodku, kiedy przyjechaliliśmy z Doniecka.

– Na pewno spodoba wam się w naszej szkole – wychowawca popatrzył na Mikołaja. – Chodź, odprowadzę cię do zerówki.

Mikołaj trzymał mnie cały czas za rękę.

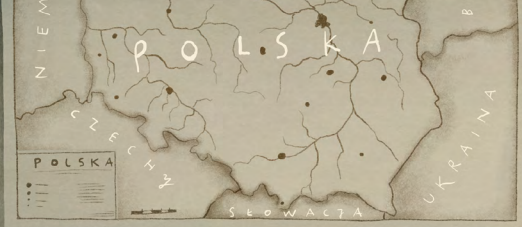
– A w Doniecku jest wojna – powiedział cicho.

W mojej klasie od początku najbardziej wkurzali mnie Adrian i Damian. Siedzieli w ławce przede mną, co chwilę się odwracali i robili głupie miny.

– Romuś, może czegoś nie rozumiesz? Może trzeba ci coś wytłumaczyć?

Ciągle tak gadali, a ja dobrze wiedziałem, że robią mi na złość. Od razu pierwszego dnia nasz pan uprzedził całą klasę, że nie najlepiej mówię po polsku, że trzeba mi pomagać, że czasem mogę czegoś nie zrozumieć. W ten sposób wszyscy dowiedzieli się, że przyjechałem z Ukrainy i właśnie wprowadziłem się do bloku na osiedlu.

– Ale ci nie dokuczają? – dopytywali się rodzice. – Nie przezywają?



Jak im to powiedzieć? Jak wytłumaczyć? Musieliby zobaczyć te głupie uśmiechy. I usłyszeć te zaczepki za plecami:

– O, Ruski!

Pan przeprowadził specjalną lekcję o Ukrainie. Pokazał ją na mapie, opowiedział o historii, ale jak doszedł do dzisiejszych czasów, to myślał, że będę chciał coś opowiadać. Ale nie chciałem, bo i tak by nic z tego nie zrozumieli. Nie potrafiłbym im opowiedzieć o tym, co działo się w naszym mieście.

Na przerwie wysoki, krótko ostrzyżony chłopak zapytał mnie, czy gram w piłkę.

– Cześć, Łukasz – podał mi rękę. – Jestem kapitanem naszej drużyny. Mamy komplet, ale jakbyś chciał... tylko musisz być naprawdę dobry.

Usłyszeli to Adrian i Damian i biegnąc na boisko, znowu zaczęli drwić.

– Romuś, umiesz grać? A jak ty zrozumiesz, co kapitan woła? Może ci trzeba pomóc? Co, Romuś?

Nie poszedłem za nimi na boisko. Nie tym razem. I nie powiedziałem im, że w Doniecku stałem na bramce w szkolnej drużynie.

Jeszcze niedawno w Doniecku w Ukrainie mieszkaliśmy w bloku na obrzeżach miasta. Mama nie pracowała, zajmowała się Natalią, Mikołajem i mną, taty często nie było w domu nawet kilka dni. Duża firma

budowlana wysyłała go w delegacje. W Ukrainie ludzie stawiali nowe domy, budowali warsztaty i fabryki, tata miał dużo pracy.

Często spędzaliśmy czas z dziadkami. Mieliśmy do nich blisko, ich dom stał dwie ulice dalej. U babci w kuchni zawsze pachniało pysznym obiadem: barszczem, pierogami z serem, gołąbkami z ziemniakami. Babcia lubiła układać z Natalią puzzle, a wieczorami opowiadała nam ukraińskie bajki i historie z dawnych czasów. Dziadek jeździł z nami na rowerowe wycieczki, łowiliśmy razem ryby w stawie, chodziliśmy na grzyby do pobliskiego lasu albo obserwowaliśmy w parku wieńcówki i dzięcioły.

Ale od pewnego czasu tata coraz częściej był w domu. Już nie wyjeżdżał w kilkudniowe trasy. Rodzice wieczorami zamykali się w kuchni i rozmawiali półgłosem po polsku, tak jakby nie chcieli, żebyśmy rozumieli. Niektóre słowa rozpoznawaliśmy: „praca”, „dom”, „dzieci”. A potem doszło do nich to najstraszniejsze: „WOJNA”. Słyszeliśmy je prawie każdego wieczoru.

– Dlaczego oni mówią o wojnie? – pytał Mikołaj, kiedy leżeliśmy w łózkach. Natalka dawno już spała. – Gdzie jest wojna?

– Nie bój się – próbowałem go pocieszać. – To daleko. Wczoraj widziałem w telewizji.

– No jak widziałeś!? Przecież tata wyłącza telewizor, od razu jak się zaczynają wiadomości – zdziwił się Mikołaj, wychylając się do mnie z górnego pościana.

– Tak, ale wczorajostałem trochę przy drzwiach, nie zauważył mnie, włączył telewizor, bo myślał, że już jestem w łóżku. I zobaczyłem żołnierzy, czołgi i wozy pancerne. Jechały przez miasto.

– Przez Donieck?

– Nie, przez jakieś inne, daleko. Mówili, że to na Krymie. Że już tam nie będzie Ukrainy.

– A tu też nie będzie Ukrainy? To co będzie? Wojna? I żołnierze do nas przyjdą?

– Nie bój się. Tata coś wymyśli.

Nie chciałem, żeby Mikołaj się bał. Ale wcale nie byłem pewny tego, co powiedziałem. Bo o wojnie mówili już wszyscy.

Wkrótce tata stracił pracę. Przestał jeździć w delegacje, miał dużo wolnego czasu. Rodzice byli niespokojni i smutni, a do słów, które wieczorami docierały do naszego pokoju z kuchni, doszły jeszcze: „bieda”, „pieniądze”, „bezpieczeństwo”. I to ciągle powracające: „WOJNA”.

– Romek – Mikołaj wiercił się na górze w swoim łóżku. – Boję się usnąć. A jak w nasz dom rąbnie bomba? I nas zasypie? A Olek mi mówił, że jego wujek jest żołnierzem. I dziadek też. Tato! – zaczął wołać. – Tato, przyjdź!